Lwów, 1. Października 1894. IV. Rok istnienia.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi we Lwowie:
Rocznie . . . 6 złr. — ct.
Półrocznie . . 3 „ — „
Kwartalnie . . 1 „ 50 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.

Numer pojedynczy kosztuje 25 ct.

Rękopisów drobnych nie zwraca się. Listów nieopłaconych Redakcya nie przyjmuje.

MYŚL

DWUTYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Prenumerata na prowincyi i w całej Austro-Węgierskiej monarchii wynosi.
Rocznie . . . 6 złr. 50 ct.
Kwartalnie . . 1 „ 65 „
w Niemczech: rocznie 14 marek półrocznie 7 m. kwartalnie 3·50.
We Francyi: Rocznie 16 fr.— kwartalnie 4 fr

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „Myśli“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct za następny.

Redakcya i Administracya we Lwowie przy ul. Kościuszki l. 6 gdzie też uprasza się o nadsyłanie wszelkich przekazów i pism. — Prenumeratę przyjmują również we Lwowie wszystkie księgarnie. — W Krakowie: księgarnie: Gebetnera i Spółki, Spółki wydawniczej, Zwolińskiego i Spółki i J. A. Krzyżanowskiego. — W Poznaniu: księgarnia Cybulskiego. — Numera pojedyncze do nabycia we Lwowie w biurach dzienników: Plohna i Olszewskiego oraz w kioskach na wystawie.

OD WYDAWNICTWA.

Kilkoletnia ciężka, a w naszych warunkach zaprawdę niewdzięczna praca, jakiej podjęliśmy się, w zamiarze stworzenia niezawisłego organu literacko-społecznego, któryby, zdala od wielkiego ołtarza polityki niósł społeczeństwu naszemu świeżą strawę duchową i uświadamiał, bez domieszki partyjnych zawiści — współczesne prądy literackie i społeczne w Polsce i zagranicą—kilkoletnia ta żmudna praca, powiadamy, której ocenę pozostawiamy naszym łaskawym czytelnikom — upoważnia nas poniekąd do tego, abyśmy się przy końcu IV roku istnienia inteligencyi naszej polecić mieli prawo i na jej większe, niż dotychczas, skuteczniejsze poparcie liczyć mogli. Z naszej strony przyrzekamy i nadal nieustanne starania około udoskonalenia „Myśli“ we wszystkich kierunkach, ażeby pismo nasze stać się mogło, wzorem zagranicznych organów, — znakomitym przeglądem literatury, sztuk pięknych i życia społecznego.

Obok działu **powieściowego,** który obecnie znacznie rozwinęliśmy, rozpoczniemy już w przyszłym kwartale osobne dodatki powieściowe, a nadto ofiarowujemy naszym tegorocznym prenumeratorom **bezpłatnie Kalendarz na r. 1895**, który roześlemy na żądanie w listopadzie, za zwrotem jeno kosztów przesyłki.

Wprowadzamy również trzy nowe działy: **„Życie społeczne“** (krytyczny przegląd objawów społecznych i politycznych), **„Folklorystykę“** (krajoznawstwo) i **„Bibliografię słowiańską“.**

Jako premium bezpłatne dla nowych prenumeratorów przeznaczamy zeszytowe wydawnictwo niezmiernie ciekawego dzieła słynnego pisarza duńskiego **Jerz. Brandesa: „O Polsce“**, które wyjdzie naszym nakładem w przekładzie polskim.

CZAS ODNOWIĆ PRZEDPŁATĘ NA IV. KWARTAŁ!

Upraszamy życzliwych nam o rozszerzanie „Myśli“ wśród znajomych.

Warunki przedpłaty są więcej niż przystępne, bo wynoszą:

WE LWOWIE
Rocznie . . . 6 złr. — Półrocznie . . 3 zł.
Kwartalnie . . 1 złr. 50 ct.

Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.

Adres Administracyi:
LWÓW
ul. Kościuszki l. 6.

Na prowincyi i w całej Austro-Węgierskiej monarchii wynosi:
Rocznie . 6 złr. 50 ct. — Kwartalnie 1 złr. 65 ct.
W Niemczech: rocznie 14 marek, półrocznie 7 m. kwartalnie 3·50.
We Francyi: Rocznie 16 franków, kwartalnie 4 fr.

Ze wspomnień o Teofilu Lenartowiczu.

V.

(O rzeźbach lirnika.)

Samotność, na którą uskarżał się poeta nie była ani bezwzględną, ani też zupełną. Florencya miewała zawsze maleńką wprawdzie, ale doborową kolonię Polaków. Przebywał tam dawniej z rodziną Wołyński Artur, nietylko zaprzyjaźniony ściśle ale i pokumany z Lenartowiczem, który mu córkę Henrykę do chrztu trzymał; przebywali Zalescy, w których domu zbierało się kółko polskie, przebywał Ordon, przebywało wielu innych — i to było naturalne niejako towarzystwo poety, zbliżone z nim, związane samą siłą rzeczy.

Ale prócz niego, miał Lenartowicz serdecznego druha z wyboru: Włodzimierza Ozierowa, z którym lirnika naszego łączyło wiele węzłów pokrewieństwa myśli i uczucia. Od dwudziestu dwóch lat osiadły we Florencyi, ożeniony z Francuzką, osobą niezwykłego wykształcenia, sam obdarzony rzadkiemi zaletami umysłu i charakteru, Ozierów tak swoją idealną postacią, jak i rozmowami przyczynił się niemało, kto wie, był pierwszym bodźcem może do stworzenia „Nieszczęsnych“. Tego przynajmniej pewnym być można, że obcowanie z nim poety nadało dramatowi temu cały koloryt, a także niejedną linię w sylwetach osób działających. Stosunki te uległy z czasem zmianie. Umarł Antoni Zaleski, rodzina jego przeniosła się na południe Francyi, zginął Ordon od własnej kulki, która go oswobodziła od cierpień późnego wieku, osiedlił się i Ozierów dla zdrowia w Nizzy. Ale i wtedy poeta zupełnie samotnym nie został, owszem znalazł sobie dwóch druhów niemal równych wiekiem, których sodalisami nazywał, albo starą gwardyą, każdy z nich bowiem liczył 70 lat wieku. Był to Józef Wczelka i Kreptyn Ostoja Chodylski. Józef Wczelka może pochodzenia czeskiego, jak nazwisko wskazywać zdaje, obywatel z Wołynia (zajmował tam nawet jakiś urząd ziemski), dziwak był i oryginał, mizantrop i niewiele zapewne dodatnich pierwiastków do tej trójcy wnosił, do której się liczył wprawdzie, ale sam łatwo bez ludzkiego serca i towarzystwa się obywając i Lenartowicza też rzadko odwiedzał. Krystyn Ostoja Chodylski, z zachodniej Galicyi rodem, inżynier z zawodu, od czasu wojny krymskiej do 1874 r. przebywał na wschodzie i szeroko znany był pomiędzy Turkami pod nazwiskiem Ostoi, którego tam stale używał. Osiedlił się we Florencyi w r. 1882. Człowiek światły, postępowy nieobojętnie i nie bez celu żyjący, wydał niegdyś w Galicyi wyborny projekt reformy systemu edukacyjnego w tej prowincyi. Jestto książka niewielka, ale wiele zalet mająca, przyjęta na razie obojętnie, ale przeznaczona do zrobienia sławy autorowi swojemu; jedna z tych rzadkich, otwierających szerokie horyzonty myśli książek, które wyprzedzają czas swój o dwa, trzy pokolenia i wtedy dopiero pojęte i ocenione bywają, kiedy szerszy ogół w rozwoju pojęć swoich zbliży się i dorośnie do nich.

Ostoja Chodylski tak ogólnym nastrojem swego trzeźwego umysłu jak i poszczególnem zapatrywaniem na stosunki ludzi i rzeczy, różnił się, musiał się różnić wielce od autora Lirenki i Błogosławionej. Oceniał go jednak i rozumiał sercem i niezawodnie stał bliżej Lenartowicza, aniżeli Wczelka.

Jakkolwiek było, tworzyli oni trójcę sodalisów, związanych słowem, że będą się wzajemnie pielęgnowali w chorobie i zajmowali pogrzebem. Była to drużba nie bardzo może wesoła, ale ubezpieczała od dotknięcia ręki cudzej, zimnej, gdy przyjdzie zamknąć na zawsze oczy, zwrócone w dalekie gdzieś strony. A prócz tych dwóch rówieśników miał Lenartowicz i młodszych towarzyszy i to towarzyszy w sztuce, jak Sozański Michał, malarz i rzeźbiarz Leon Zawiejski, z którymi do pracowni wchodził promień wesela, siły i ufności w jutro.

Przygodnych gości z kraju także nigdy nie brakło. Jużci nikt przez Włochy nie przebiegł, żeby się w niej nie zatrzymać, każdy zaś kto się zatrzymał, niósł na Montebello pozdrowienie od bliskich. A między przygodnymi gośćmi byli i tacy, którzy przybywali umyślnie, aby czas jakiś z poetą przebyć i samotność jego osłodzić. Do takich prawdziwie poświęconych poecie przyjaciół, należała pani Malwina Ogonowska z Bolonii, a w pierwszej linii panna Jabłonowska Julia, dama od wielu już lat stale zamieszkująca w Paryżu, która co roku spędzała parę, czasem nawet kilka miesięcy we Florencyi, dla dotrzymania towarzystwa poecie. Monbello ożywiało się wtedy niezmiernie. Urządzano małe wycieczki w okolicę, małe pielgrzymki do dzieł sztuki po galeryach i po mieście, a wieczorem zbierano się co dzień u panny Jabłonowskiej, to na gawędę w kółku poufnem, to na maryasza, jeśli nikt nie przybył. W domu tym Lenartowicz psuty był poprostu przez gospodynię, która, mimo wieku swego i lekkiego chromania na nogę, zajęta była nieustannie ugaszczaniem go, dogadzaniem mu, odgadywaniem jego myśli niemal. Lenartowicz istotnie zachowywał się tam nieraz jak pieszczone dziecko; kaprysił, spierał się przy maryaszu a i bez maryasza, przeczył, przyganiał, był nieznośny. Ja sama słyszałam spór taki. Rozprawa była gorąca, uparta; gospodyni utrzymywała, że widzieli razem jakąś lipę i ławkę historyczną. Leuartowicz dowodził, że ławkę widział wprawdzie, ale nie pod lipą, lecz pod dębem. Po długiem przekonywaniu się wzajemnem, okazało się wreszcie, że właściwie widzieli i dąb i lipę. Tylko, że lipa była lipą Goetego i rosła nie pamiętam już gdzie; a dąb był dębem Tassa i stał na Janiculum rzymskiem. Ale i potem wyjaśnianiu Lenartowicz dąsał się jeszcze przez chwilę, odmawiając wybornego cygara i dopiero widok jakiejś polskiej babki z rodzenkami, przyjednał te fochy. Lenartowicz jadł, chwalił, gospodyni promieniała, a kiedyśmy się rozstawali, nietylko, że najpiękniejsza panowała zgoda, ale nadto stanęła umowa, iż nazajutrz zejdą się wszyscy zrana w Sante Croce, a potem pójdą na „uczone koty“. Koty w ogóle, a uczone koty w szczególności były słabością panny Jabłonowskiej i Lenartowicz umyślnie przybiegł z wieścią o przybyciu ich cyrku do Florencyi, dla ucieszenia zacnej swojej przyjaciółki, ale rozdąsany czegoś zaraz na wstępie, teraz jej dopiero tej uciesznej nowiny udzielił.

Samotność tedy poety względną tylko była i być mogła. Śpiewakowi, lirnikowi, brakło raczej słuchaczy, niżli ludzkiej drużby. Słuchano wprawdzie słuchano chętnie i z zachwytem, ale sam poeta

czuł, że jego ludowa nuta, nie zawsze jest może pojęta, nie każdym tonem przenika duszę tych, co go słuchali.

...„Jedna zacna kobieta z wielkiego świata, jaka się tu znajduje — pisze Lenartowicz w jednem z listów swoich — żaliż może ocenić pieśni ludowe? Osoba wychowana w arystokratycznej sferze, od długich czasów na obczyźnie żyjąca powiedz sama, czy może uczuć, czy może zrozumieć, co ja mam chłopskiego w duszy? powiedz tylko!...“

Tak jest: tego to zrozumienia ludowości i swojskości w pieśni, brakło poecie w jego florenckich słuchaczach; brakło mu poprostu współtonu, odezwu, echa, w bijącem temże tętnem sercu i na taką to samotność skarżył się pieśniarz, tembardziej, że na swojej marmurowej pustyni ni mógł nawet rzucić się na ziemię okwitłą trawami, zbożem, na tę czarną ziemię, która tak często za ludzkie serce starczy.

(C. d. n.) *Marya Konopnicka.*

ACH, MIŁOŚĆ...

„Ach miłość to wszystko, to akord symfonii,—
Dążenie wśród jęków i zgrzytu
Do wyżyn niebiańsko pogodnej harmonii —
Dążenie niebytu do bytu.

Ach, miłość to piekło i raj zespolone
We wrogim żelaznym uścisku,
Uczucie bądź bierne — bądź znowu szalone —
Żar ognia i chłód wodotrysku: —

Nie, miłość to szczęście dwóch istot natchnionych
Nie, miłość to życie dla słońca,
Nie, miłość to wiara dla myśli zwiątpionych,
To gwiazda przewodnia, jarząca!...

Tak dźwięczą te tony, radosne i smętne —
Już giną w gruchaniu sielanki,
Już znowu powstają zwycięzko namiętne
W okrzyku spojonej bachantki.

Ach, pójdźmy do gaju, gdzie słowik omdlewa,
Zawodząc swe trele żałośne
I niech ten poeta nam zadrga, -- wyśpiewa
Samiczkę i kwiaty, i wiosnę.

Spojrzyjmy na lice dziewczyny, młodzieńca —
Kochanków stęsknionych, marzących:
Co mówią nam usta i wzrok oblubieńca?
Co mówią pieszczoty rąk drżących?

W zachwycie miłosnym... już ziarnko istnienia,
W tym długim, jak wiek pocałunku
Przyroda wyjawia żądanie zrodzenia
Dalszego ogniwa gatunku!

Algos.

Królowa niebios.

„Są temata, które same za siebie mówią, przy których autor nie potrzebuje się tłómaczyć: dla czego je wybrał, dziwiąc się raczej samemu sobie, że tak późno wpadł na pomysł ich wyzyskania i dziwiąc się innym, że przed nim tego dawniej nie uczyniono“. Temi słowy rozpoczyna p. M. Gawalewicz słowo wstępne do wydawnictwa Królowa Niebios (Legendy ludowe o Matce Boskiej), poświęconego „córkom naszym“, objaśniając w dalszym ciągu, że do takich to tematów należą właśnie legendy o Matce Boskiej. Po raz pierwszy sięgnęła po nie ręka artysty Piotra Stachiewicza, ażeby je ze skarbca poezyi przenieść do skarbca sztuki.

O ile artysta ten wywiązał się z zadania, mieliśmy już sposobność przekonać się, podziwiając jego cykl obrazów, które teraz złożą się właśnie na całość przepięknego wydawnictwa Gebethnerów, objaśnionego tekstem, nakreślonym przez p. Maryana Gawalewicza.

Zasięgnąwszy rad osób życzliwych, a z legendami ludowemi obeznanych, p. Gawalewicz zasiadł do pracy, przybierając te legendy w taką formę literacką, ażeby w zupełności odpowiadały nietylko samej treści, lecz i wzniosłej fantazyi artysty-malarza. Że zadaniu temu podołał wykazują zeszyty Królowej Niebios, które w tych czasach ukazały się na półkach księgarskich.

Autor podzielił pracę na trzy działy, malujące postać Matki Boskiej wiernie, według pojęć i wyobrażeń ludu: „Na ziemi“, „W niebie i „Z ziemi“.

Fantazya ludu opowiada, że kiedy, oprócz nieba i wody, nie było nic na tym świecie, a unosił się tylko Bóg nad wodami w przestrzeni pustej i ciemnej... wtedy wśród takiej ponurej pustki zabrzmiał głos Boga, rozkazujący „złemu“ przyniesienie z dna morskiego garści piasku. Nie chciał zrazu zły iść na dno morskie, bo zapragnął wiedzieć, co Stwórca zrobi z tym piaskiem; z piasku tego Bóg miał zrobić ziemię. Dyabłu ślepie się zaiskrzyły, stoczył się na dno morza, napchał piasku w zęby i za pazury, ażeby tak jak Bóg i on mógł z piasku ziemię dla siebie stworzyć. Pan Bóg wziął piasek w Swoje święte ręce, pobłogosławił i cisnął na wodę. Ziarnka piasku złączyły się i powlokły morze ziemską skorupą; ale i w paszczy dyabła piasek zaczął rość tak, iż zły musiał skradziony piasek wypluć, a kiedy splunął na wody, jeziora i trzęsawiska, tam powstały wyspy i kępy, na których ciągle najchętniej zły przemieszkuje. Gdy Bog później stworzył pierwszego człowieka Adama, postanowił dać mu towarzyszkę. I tchnął na kwiaty rajskie a z nich jak lilia czysta i biała, jak woń lekka i miła, wionęła cudna postać pierwszej niewiasty. Pomimo, że wszystko uderzyło w hymn na chwałę Bogu i na cześć Dziewicy, jeden Adam stał nieczuły, bo za wątłą dlań była ta towarzyszka, za mglistą i obłoczną. Poznał dobrotliwy Bóg, że jego grubej ludzkiej naturze nie będzie odpowiednia taka niewiasta więc „kwiat Dziewicę“ zabrał do siebie, a Adamowi stworzył inną. Kwiat Dziewicę Bóg zachował w swej krasie i czystości niepokalaną i dał ją później na Matkę Synowi Swemu, — i nadszedł ten czas, w którym Pan Bóg Dziewicę z rajskiego kwiatu zesłał na ziemię, ażeby swój żywot doczesny rozpoczęła i ażeby wypełniła się Jego obietnica co do odkupienia rodzaju ludzkiego. A kiedy zeszła chodziła Panna Najświętsza po ziemi, aż razu pewnego zaszła do chaty ubogiego kmiotka, prosząc o nocleg. Chłopek, mając chałupkę ciasną, umieścił Przenajświętszą Panienkę w szopie. Po północy zbudziła go wielka jasność; spojrzy, a nad szopą unoszą się święci anieli, śpiewając chórem: „Hossanna“. I rojno, i gwarno było później około Jezusowej kolebki. Kręcili się wszyscy przy Pacholątku Bożem; zachciało Je ujrzeć dziewczątko miłe, córeczka owego kmiecia, kaleka, co się bez rąk urodziła i marny żywot wieść musiała. Zakradło się więc owo dziewczątko do szopy, a zwróciwszy swe modre oczęta na Jezusa stało pokorne, nieśmiałe. Więc Marya Panna, gdy kalekę ujrzała, zdjęta litością, rzecze: „A podaj no mi Dzieciątko moje ze żłobu“. „Jakoż ja niegodna podam, kiedym

bez rąk?" — odrzecze córka kmiecia. — „Sięgnij tylko biedoto". A, tu sięgnęła i nagle urosły jej ręce, któremi Jezusa Matce podać mogła. Gdy Święta Rodzina kryła się w lasach przed siepakami króla Heroda, a głodne Dzieciątko kwiliło, żądając pożywienia, paproć jedna ofiarowała swe korzonki, ażeby niemi Dzieciątko posilić. Przenajświętsza Matka, posiliwszy Dzieciątko korzonkami paproci, puściła się w dalszą drogę; na noc spoczęła pod osiką, ale niedobra drzewina, bojąc sią zemsty Heroda, nie chciała dać Jej schronienia i poczęła tak trzepotać gałązkami, że Marya Panna musiała powstać i szukać schronienia pod leszczyną. Ta skromna drzewina, ujrzawszy u stóp swych Boga Rodzicielkę tak nakryła Ją swemi gałązkami, tak otuliła swym płaszczem liściastym, że żadne oko ludzkie nie byłoby w stanie Jej ujrzeć. W leszczynie jednak siedziała ukryta kukułka; chcąc przypochlebić się Herodowi, poczęła wołać: „kuku-kuku!" ażeby zwrócić uwagę jego na kryjówkę Matki Boskiej. Za to złe serce kukułka jest ptakiem bez gniazda, a osika musi trząść się ze strachu i dygotać listkami po wieki, a nadto musiała dźwigać największego zdrajcę i najpodlejszego wisielca na ziemi: Judasza. Leszczyna natomiast, w nagrodę, została błogosławioną krzewiną; w nią grom nigdy nie uderzy, bo ona jest w łaskach wielkich Maryi Panny. — Następnie autor przytacza dwa podania: o zbóju, który dał gościnę u siebie Przenajświętszej Rodzinie i opowieść o żeńcu.

Przepiękną, pełną poezyi jest opowieść o jaskółkach i wróblach, zakończona podaniem o białych liliach, które wyrosły z krwi, co ciekła z ran Chrystusowych, o storczykach, których srebrne i złote listki pordzewiały od łez Matki Boskiej i o stokrotkach, wyrosłych w tem miejscu, gdzie padły łzy Maryi Magdaleny. Wniebowzięciem Najświętszej Maryi Panny kończy autor dział zatytułowany: „Na ziemi".

Dziesięć opowieści złożyło się na ustęp: „W niebie", wśród których pełnem uroku jest podanie o rycerzu Maryi Panny, który za mieszkanie ma daną sobie tarczę księżycową i opis, jak fantazya ludu przedstawia sobie „Pałac niebieski", który jest „krocie mil długi i krocie mil szeroki".

Prozą rymowaną przytacza p. Gawalewicz w trzeciej części „Z nieba" podanie o słonku, które w każdą sobotę choć na chwilkę musi złotem okiem błysnąć. Bo w dzień ten, sam Pan Jezus, każe choć odrobinkę słonka rzucić ziemi, a to na pamiątkę, że kiedy na niej dziecięciem przebywał, to Macierz Jego przy zdroju co rano giezłeczka prała dla Syna Swojego i sama one na słonku suszyła, ażeby Dzieciątko na niedzielę świętą, białością szaty jaśniało w kościele. Początkiem opowieści o kmiotku, któremu przyszła na świat dziecina czasu żniw i robót w polu, kończy się zeszyt trzeci tego cennego ze wszech miar wydawnictwa.

Autor, zapoznając nas z wyobrażeniami o Matce Boskiej, jakie wyrobił sobie lud nasz, po za samą religią dziedziną wierzeń, zwraca szczególną uwagę na dwa charakterystyczne wnioski, które same się nastręczają; najpierw że ta Panienka Przenajświętsza stała się dla niego wcielonym ideałem kobiecości, dobroci i wszelkich cnót i wdzięków, ale nadto wykazuje, jak przylgnął nietylko samą wiarą ale i instynktem, do tego Bóstwa Opiekuńczego, w którem położył całe swoje bezgraniczne zaufanie, któremu oddał cześć najgorętszą, które umiłował najbardziej ze wszystkich potęg ziemskich i niebieskich.

Trzy wyszły zeszyty Królowej Niebios przyozdabia sześć przepięknych fototypij trawionych na miedzi: „Dziewica z kwiatu", „W stajence", „W ucieczce do Egiptu", „Siewna", „Wniebowzięcie" i „Po cierniowej drodze".

Zeszytów takich będzie sześć, a w każdym po dwie ilustracye. Wydawnictwo jest pod każdym względem staranne i przynosi nie mały zaszczyt księgarskiej firmie Gebethnera i Wolfa: na serdeczne zaś podziękowanie zasłużył p. Gawalewicz za literackie obrobienie podań ludowych.

ski.

Ze świata sztuki.*)

II.

Jan Styka.

Jan Styka jest dzieckiem Lwiego grodu, gdzie w dniu 8 kwietnia 1858 r. przyszedł na świat, jako syn niezamożnego urzędnika skarbowego. Ukończywszy szkoły gimnazyalne w r. 1877, z trudno-



ścią zaledwo zdołał przezwyciężyć opór ojca, który ze względów materyalnych nie chciał dać mu zezwolenia na obranie artystycznego zawodu. Dopiero stanowcze oświadczenie młodzieńca, że opuści dom rodzicielski, choćby pieszo, celem kształcenia się na malarza, skłoniło ojca do wyprawienia go do Wiednia na studya w tamtejszej akademii. Po roku wszakże śmierć ojca i brak wszelkiej pomocy od rodziny, pozostawiły Stykę jego własnym siłom. Przechodził on zrazu twardą szkołę życia, żywił się

*) PP. artystów, malarzy i rzeźbiarzy, zamieszkałych tak w kraju, jak i zagranicą upraszamy o łaskawe nadsyłanie nam swych fotografij i treściwych dat biograficznych, które służyć muszą nam za konieczny substrat do sylwetek. Zaznaczamy z góry, że w kreśleniu sylwetek artystycznych nie będziemy się powodowali żadnemi sympatyami, ani też krępowali starszeństwem wieku, lub stanowiskiem zajmowanem przez artystę w danej chwili w świecie sztuki — chodzi nam jedynie o zapoznanie szerszej publiczności z indywidualnościami ludzi pendzla i dłuta, bez różnicy stopnia ich wyrobienia — a tą drogą zdaje się celu dopniemy. (Red. „Myśli").

w kuchni ludowej, lecz pracował niestrudzenie dla sztuki, nie dla chleba. Po dwuletnich studyach wynagrodzony złotym medalem za kompozycyę, przeszedł do tak zwanej *Meisterschuli*, gdzie pracowa pod kierownictwem profesorów Griepenkerta i Eisenmengera. W r. 1881 wyjechał Styka do Rzymu, gdzie powstały jego „Lilla i Weneda" i „Ermina", zaś w roku następnym widzimy go z powrotem w Krakowie. Młodego artystę przyjął Matejko po ojcowsku, dał mu pracownię, w której Styka pod jego okiem pracował i zapewnił mu stypendyum, dzięki któremu mógł swobodnie kształcić się dalej i tworzyć.

W tym to czasie powstała jego „Najświętsza Panna Błogosławiąca", o której słusznie wyraził się Wojciech Gerson, iż był to owoc sumiennych studyów i dobrego opracowania, z pod którego myśli natchnienie wybijały się silnie i stanowczo. Jakoż obraz ten na konkursie warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych odznaczony został w styczniu 1884 złotym medalem. „Chrystus rozdzielający chleb rzeszy", „Magdalena pokutnica", portret dr. Jordana oraz wielka ilość drobniejszych kompozycyj datują się z czasów pobytu Styki w podwawelskim grodzie, z którego w r. 1880 podążył do Paryża, gdzie przez trzy lata z rzędu samodzielnie pracował.

Tu w skromnej pracowni, w pobliżu fortyfikacyi na Avenue de Villiers stworzył artysta „Huldę prorokinię", nagrodzoną medalem na wystawie sztuki w Krakowie, (w r. 1887.), oraz „Spotkanie na Via Appia", obraz umieszczony w wystawowym pałacu sztuki. „Hulda" budziła uznanie dla artysty nawet wśród kollekcyi licznych płócien malarzy francuskich, wystawionej w Wiedniu w lutym 1888 r. zaś sprawozdawca jednego z najpoczytniejszych pism tamtejszych zauważył wówczas, że gdyby w izraelickich domach modlitwy istniał zwyczaj zawieszania religijnych obrazów, to „Hulda" zasługiwałaby w zupełności na podobne odznaczenie. Jeszcze większym rozgłosem cieszyło się „Spotkanie na Via Appia" w całych Niemczech, że wspomnimy tylko o wielkich pochwałach, jakie kompozycya ta wywoływała w Berlinie i w Hamburgu w szpaltach najbardziej wrogo dla imienia polskiego usposobionych organów.

W roku 1888 przebywał Styka przez czas dłuższy w Kielcach, zaś od listopada 1890 roku zamieszkał we Lwowie z silnem postanowieniem, by tu żyć i pracować z pożytkiem dla kraju. „Artysta każdy, stając przed społeczeństwem, dla którego pracuje i tworzy" — pisał Styka w komentarzu do wystawy swych dzieł, urządzonej w sierpniu 1888 r. — „powinien się przedewszystkiem starać o to, by był zrozumianym — powinien niejako odsłonić swoje ja, swoje uczucia i myśli a wówczas dopiero może otrzymać to, co mu się słusznie należy". Ostrożność ta zdaje się nam zbędną od chwili gdy Styka, stanąwszy we Lwowie, zaznaczył dobitnie i wyraźnie szczerze narodowy kierunek swej działalności. Twórca „Polonii" i „Chorału", inicyator panoramy Racławickiej, nie potrzebuje się wśród nas lękać, by go nie zrozumiano...

S. P.

Przepaść.

(Nowela).

Trzeba mi było podejść ku niej, wziąść ją za ręce, podnieść i powiedzieć, że niechcę od niej nic, że ją opuszczę, odjadę i więcej nie wrócę. Ale egoizm, wrodzona ludziom brutalna i barbarzyńska chęć dania uczuć swej przewagi słabszym, zwłaszcza tym, którzy pierwej nam swoją uczuć dawali przewagę, gwałtem prawie pchnęły mię na inną drogę. Tryumfować nad tą kobietą, która tak długo mnie upakarzała! Pokazać jej, przekonać ją, że nie byłem żadnym głupcem, który swych nadziei nie mógł oprzeć na niczem, ale owszem człowiekiem, który był pewnym swego, że prędzej, czy później musi nadejść taka chwila, jaka nadeszła! Dać jej do myślenia, że może właśnie ja tylko chciałem ją doprowadzić nad krawędź przepaści, i kiedy już ma runąć, wstrzymuję, bo tak chcę, bo mi się tak podoba, mnie, mężczyznie, uczynić z nią, kobietą. Co za tryumf! Co za wygrana, mimo tak olbrzymiej straty, mimo takiej przegranej... Było to wszystko podłe, wstrętne, zresztą bardzo i zupełnie ludzkie. Ale prócz tego przychodziło mi na myśl i to, że może mnie pamięć tego tryumfu uratuje, jeżeliby mnie pamięć tego, com odtrącił, popchnąć miała do jakiego szalonego kroku lub złamać mi od jednego zamachu życie, czegobym się nie lękał.

Stałem więc nieruchomy i patrzyłem na tę klęczącą kobietę z jakimś, czułem to, błąkającym mi się na wargach bezmyślnie ironicznym uśmiechem. I stało się to, czegom czekał. Nie powstając na kolanach podsunęła się ku mnie i schyliwszy głowę na piersi, szepnęła ledwo dosłyszanym głosem:

— Jestem...

Zamiast podnieść ją, ucałować jej ręce i powiedzieć jakichś parę serdecznych słów, po których byłaby się rozpłakała, potem odprowadzić ją do domu pożegnać i wyjechać — spojrzałem na nią zimno, podniosłem końcami palców i nie mówiąc ani słowa odprowadziłem do domu. Na pożegnanie, ściskając jej lekko i obojętnie rękę, powiedziałem tylko:

— Partya skończona.

Zbladła jak trup, jakiś stłumiony półjęk wydobył się jej ze zbielałych ust, cofnęła się i oparła o poręcz balustrady; mając wielką ochotę wydobyć rewolwer, który zawsze przy sobie nosiłem, i w łeb sobie palnąć — ukłoniłem się jej głęboko i odszedłem, aby w godzinę później wyjechać.

Po jakich pięciu latach dopiero spotkałem ją w Meranie. Stała o kilkanaście kroków od domu w którym mieszkałem, rozmawiając z dwoma panami: jakimś młodym oficerem od kawaleryi i starszym mężczyzną, wyglądającym na przemysłowca.

Chciałem się cofnąć, lecz spostrzegła mię a kiwnąwszy lekko głową obu towarzyszom, podeszła szybko ku mnie i, prawie nie witając się, zaczęła mówić ostrym, oschłym głosem:

— Patrz pan, to już siódma para od tych kilku lat. Zawsze mam dwóch, bo mię to bawi, że jeden o drugim nie wie. Ryzykuję, jak zawsze i wygrywam — dodała z naciskiem — jak zawsze. Wtrąciłeś mnie pan w przepaść. Nie pluje się bezkarnie w twarz kobietom takim, jak ja. Czekałam lata całe, aby pana

za obelgę ukarać, aby się zemścić, wiedziałam, że chwila tryumfu nadejdzie, nadejść musi, o! wiedziałam z pewnością lepiej, niż pan wówczas, pięć lat temu!... Do Meranu przyjechałam umyślnie, aby panu pokazać — tych panów. Partya nie była skończona, zawcześnieś ją pan za taką uważał... Partya jeszcze trwa — pan masz suchoty a ja kochanków!...

Kazim. Tetmajer.

Myśl społeczna w „Konradzie Wallenrodzie“.

(Szkic do studyum)

Dążenia nasze ostatnich czasów skierowane są ku uświadamianiu szerokich mas ludowych, ku wytworzeniu tego granitowego pościeliska, na którem budujemy i osnuwamy wielki gmach przyszłości narodowej.

I ta myśl również zbliża nas dziś ku największemu z polskich poetów, który pragnął dożyć tej pociechy, „aby jego księgi zbłądziły pod strzechy“. Mickiewicz bo odczuwał i zrozumiał wielkie posłannictwo ludu.

Jeśli w „Panu Tadeuszu“ dał nam nasze życie, nasz obyczaj, naszą ziemię, naszą duszę to, w *Konradzie* jest cała moc naszej miłości i.. nienawiści. — Żaden może z utworów Adama nie wywołał tylu sprzecznych sądów, tylu zdań odmiennych, nie nasunął tylu komentarzy i krytycznych refleksyj, co *Konrad Wallenrod*. Zajmowano się przeważnie estetyczną stroną poematu, jego artystyczną genezą, mniej zaś o wiele etyką Wallenroda, myślą społeczną, tkwiącą na dnie tej wspaniałej powieści litewskiej. Dlaczego? Dla wielu powodów. Jedni np. są zdania, że Konrad jest odezwem poety na hasło przez naród wygłoszone, wypowiedzianym głosem cichym, stłumionym, budzącym domysły, drudzy znowu, że jest owocem czasów konspiratorskich z przed r. 1831, i niejako wpływem jego stosunków do sfer arystokratycznych i literackich w Rosyi (gdzie wówczas przebywał). Wszystko przypuszczenia i domysły.

Nam się strona społeczna *Konrada* dość jasno przedstawia. Poeta, któremu zarzucano, że nie wyczerpał idei poematu, w którego Słowacki w znanym do Adama antagonizmie rzucił strofą, o wallenrodyzmie i „że do zdrady pewien wprowadził metodyzm“, Mickiewicz, powiadamy, dał w Konradzie najszczytniejszą gloryfikacyę miłości ojczyzny, nam dał ideał człowieka, ktory w dążeniu do ogarniającej, pochłaniającej całą jaźń jego sprawy zbawienia narodu, nie cofa się przed żadnym środkiem, który prowadzi do wielkiego celu, nawet: przed zdradą i poświęceniem. Jest to apoteoza męża, który mści krzywdy swej ojczyzny, ciemiężonej przez obcych, jest to Samson, tem jednak różniący się od tradycyjnego, że obala wrogów nietylko fizyczną ale i moralną siłą, że życie swe zamienia w jeden wysiłek, nieustający podstęp, w jedno bezgraniczne dla narodu poświęcenie.

Dla należytego uplastycznienia powyższej myśli, dla jej zobrazowania, trzeba przy rozbiorze Konrada szczególny nacisk położyć na stosunek jego do Halbaną-Wajdeloty, z którym się personifikuje poeta, w którym — powiemy więcej — odbija się tęczowym blaskiem rdzeń naszej romantycznej narodowej poezyi.

Był to mnich siwy, zwano go Halbanem,
On Wallenroda samotność podziela,
On był i serca jego powiernikiem,
On był i duszy jego spowiednikiem
Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Wnet po ukazaniu się Konrada, pisał Adam do A. E. Odyńca: „Chciałem zrobić dwie powieści oddzielne, poema zacząć od opisu zarazy (Alpuhara) ale musiałem dać je w usta Wajdeloty, dla różnych przyczyn“. W ten sposób pieśń Wajdeloty, która miała być, wedle pierwotnego układu, przygrywką, została przesuniętą do środka poematu.

Ta pieśń stanowi, że tak powiemy, pobudkę dla czynów Konrada, ona jest tem zarzewiem, które rozpala w nim płomienną miłość i namiętną nienawiść. Zaczyna się od zestawienia najazdu Krzyżackiego z przejściem zarazy, poczem następuje apostrofa do pieśni gminnej:

„Ty stoisz na straży Narodowego pamiątek kościoła
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem,
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła...

Ta poezya staje się cementem między dawnemi i młodszemi laty: wszystkie „uczuć kwiaty“ i „myśli przędze“, jakie zgromadziła przeszłość przekazane są tu przyszłym narodu pokoleniom. Podbitemu narodowi wszystko zabrać można:

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczów spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało!..

Mickiewicz w dziejach wojen litewsko-krzyżackich obok postaci Wallenroda znalazł również zajmującą indywidualność, mianowicie Waltera von Stadion, rycerza niemieckiego, który wzięty w niewolę przez Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta i z nią uciekł z Litwy. Przypuszczenie, że Konrad i Walter są postaciami temi samemi identycznemi, przeobraziło Waltera w Litwina, porwanego dzieckiem przez Krzyżaków, ale w duszy nienawiść ku nim żywiącego. Pierwsza część poematu (dzisiejsza powieść Wajdeloty) opowiada dzieje Waltera aż do chwili, w której plan zemsty dojrzał w nim — druga miała opowiedzieć mścicielskie czyny tegeż Waltera, jako Konrada Wallenroda.

Wallenrod, jako Walter, jest człowiekiem cichego charakteru i głębokich namiętności. Ziarno nienawiści ku zakonowi krzyżackiemu zapadło na duszę jego w latach dzieciństwa, w chwili, gdy wśród krzyku nieprzyjaciela i zaskoczonych rodaków, wśród ognia i dymu, porwał go najeźdca:

„Nie wiem, co się stało dalej
Tylko krzyk matki mojej, długo, długo słyszałem
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu'
Krzyk ten ścigał mię dłu o, krzyk ten pozostał [w mem uchu.
Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w ja- [skini, za odgłosem pioruna...
... Oto jest wszystko co z Litwy, co od rodziców [wyniosłem.

A więc już jaśniej, wyraźniej zarysowywa się nam motyw nienawiści u Konrada.

Krzyk i rozpacz matki, szarpanej przez wrogów na tle nocy pamiętnej — to pierwsze nasienia przyszłej zemsty. Ale to nasienie mogło nie dać owocu, mogło wszak zamrzeć, jeśli się zważy, że dziecko wychowywali teutoni.

To prawda, ale prawdą jest nie mniej, i to bardzo dla nas ważną, że Walter-Konrad stykał się z drugim jeńcem litewskim, Wajdelotą, który w dziecku miłość ojczyzny podniecał, jej nienawiść i pogrom opiewał do oporu zagrzewał.

„Bronią jedyną niewolnika jest zdrada!“

Konrad o tem niezapomni! On pójdzie pomścić prawa pokrzywdzonej ziemi rodzinnej, mimo węzłów miłości, mimo tych kajdan złotych, mimo łez Aldony — pójdzie niezawodnie, bo na sztandarze swoim wypisał: zbawienie Litwy, bo poprzysiągł sobie odwet w onej pamiętnej chwili, a przysięgi nie złamie ani dla rodziny, ani dla kochanki.

„Jeden sposób Aldono, jeden został Litwinom —
Skruszyć potęgę Zakonu i mnie ten sposób wia-[domy.
Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przeklęta go-[dzina,
W której od wrogów zmuszony, chwycę się tego [sposobu,
Czujne są oczy kochanki, zgadła ucieczkę Aldona!
Drogę w dolinie zabiegła, smutne to było spot-[kanie.
„Wróć się o luba do domu, wróć się ty będziesz [szczęśliwa,
. . . .
Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, za-[pomnisz!
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku
Który dla dobra Ojczyzny wyrzekł się i ciebie!

Tutaj znowu rolę wybitną, kierującą zaczyna odgrywać Halban — Wajdelota. Konrad czasami chwieje się; cierpi wiele, kocha i zdaje się tej miłości chwilowo ulegać. Kiedy Aldona z wieży prosi kochanka, aby choć zapłakali razem, ten odpowiada:

„I cóż wypłaczemy?
Płakałem pomnisz, kiedy się wydarłem
Na wieki wieków z twojego objęcia;
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Teraz stanąłem u życzeń mych celu,
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu.
Odtąd, jak znowu z okna twej wieżyny...
Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
Znowu nic niema dla mojej źrenicy,
Tylko: jeziora i wieża i krata.

Ale Halban nie próżnuje:

„I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje.
Albo dawniejsze przypomina śluby.
Wyrżnięte sioła i zniszczone kraje;
Albo, gdy niechcę skargi jego słuchać —
Jednem westchnieniem, skinieniem oczyma,
Umie *przygasłą myśl zemsty rozdmuchać.*

Ten wpływ Halbana jest magnetyczny. On „jednem westchnieniem“ umie myśl zemsty rozdmuchać, on potrafił nawet Witołda „co wsparcia u Krzyżaków żebrał“, od Zakonu raz na zawsze usunąć:

Postrzegli wszyscy, kiedy Wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witołd mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił.
Dręczy go równie i gniew i sromota;
Nakoniec szablę ściskając u boku,
Spojrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniewu nad czołem wisząca
Opadła nagle w bystrym łez potoku,
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania
I w tajemnicze utonął dumania.

A więc Halban — to nietylko zwykły *Wajdelota* litewski, nietylko jeniec i stary bard, ale alegoryczne wyobrażenie wyższego duchowego czynnika, prącego ku wyzwoleniu narodu, bez względu na otoczenie choćby za cenę poświęcenia wszystkiego i złożenia w ofierze Ojczyźnie.

Ten Halban — to sam Mickiewicz, to jego lutnia złotostrunna, to donośny głos naszej romantyki.

Albo w „Uczcie“. Konrad nie chce pieśni Włocha i trzos ładowny złotem, rzuca mu pod nogi:

...Innego chce barda
Zakonny rycerz, innej chce piosenki,
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda,
Jak hałas rogów i oręża szczęki.
I tak ponura jak klasztorne ściany
I tak ognista jak samotnik pijany.
...Kto ją zaśpiewa? kto?
„Ja“ odpowiedział sędziwy starzec,
Który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział,
. . . .
Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną
Głowę okrywa ostatek siwizny,
Czoło i oczy okryte zasłoną
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny;
To znowu Halban!

A gdy powstał po śpiewie Wajdeloty szmer na sali; on — Konrad bierze lutnię i śpiewa:

„Znam ja Was! ... Każda piosnka Wajdeloty,
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie:
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie —
. . . .
Słuchałem pieśni, zanadto, niestety!
Stało się, stało... Znam cię zdrajco stary!
Wygrałeś!.. wojną... tryumf dla poety.

Na pierwszy rzut oka wydaje się tu Konrad gwałtownym, namiętnym, to znowu tkliwym marzycielem, uległym kobiecie. Niby to Korsarz, niby Manfred byronowski. Ale tylko pozornie — to jeno maska.

Trzeba sobie uprzytomnieć warunki i okoliczności, wśród których Konrada tworzył poeta.

Los był mu macochą. Na Adama spadały ciosy — moralne jeden za drugim. Zrazu zawód w miłości, potem więzienie, wygnanie. Nie był szczęśliwy. „Nie było szczęścia w domu, bo go nie było w ojczyźnie“. W duszy poety zapanował smutek, tęsknota, dojrzało pragnienie poświęcenia się dobru zbiorowemu, zbawieniu bliźnich. Ten piękny zamiar wyrzeczenia się osobistego na ziemi szczęścia i okupienia niem szczęśliwości innych — wcielony jest w *Konradzie.*

Mickiewicz wczytywał się wonczas — wiemy to z listów jego do Zana i Czeczota — we Fiesca Szyllera, w historyę Machiawela, ale małemu ulegał wpływowi, pozostał zawsze szczerym, brzydził się lisią zdradą, nadużyciem zaufania, gardził niskiem krętactwem. I dlatego Konrad nie zamyślał zbrodni, nie nie zdradzał dla „zdrady“, ale dla tej świętej idei, którą się zapalił dlatego, że pałał żądzą wielkiego czynu, a serce miał pokrwawione.

Co za przepaść między sumieniem a zamiarem! Człowiek — nadczłowiek tytanicznych dążeń, nie mógł żyć dłużej po spełnieniu tego, co było zadaniem jego życia, co było jego celem. Bolejemy nad samobójstwem Konrada, a jednocześnie czujemy, że on powinien był zginąć, bo zwycięstwa duchowego już dopiął. On wielki za życia, jako wielki umrzeć musi: dumny, wspaniały, niepokonany, silny nawet wtenczas, gdy ma już w sobie trucizny jad.

Znak mistrza zakonu na ziemię miota, depce nogami z uśmiechem pogardy i woła:

„Oto są grzechy mojego żywota!
Gotowem umrzeć: czegoż chcecie więcej?

Ja to sprawiłem! Jakem wielki, dumny;
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem,
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!
Rzekł, spojrzał w okno i bez czucia pada....

Tak, zburzył gmach krzyżacki i runął pod nim — tak giną bohaterowie idei, w tem jej siła, wspaniałość koturnowa, budująca przykładem, pełna i konsekwentna.

To nie był *metodyzm w zdradzie* ani machiawelizm polski, to było raczej zarzewie, rzucone na grunt podatny, fanfara i pobudka do tak bliskiego Konradowi listopadowego powstania.

Józef Bornsztein.

HERMAN HELMHOLTZ.

Dnia 8-go września zmarł Helmholz, jeden z najwybitniejszych niewątpliwie uczonych naszego stulecia. Doniosłością swych odkryć, genialnością swych pomysłów, wszechstronnością prac swoich zajął tak wybitne w nauce współczesnej stanowisko, że nikt go nie przewyższył, nikt mu może nie dorównał. Po wszystkie czasy błyszczeć będzie w pierwszym rzędzie tych, którym fizyka i fizologia rozwój swój zawdzięczają. Jako filozof, matematyk i eksperymentator jednoczył on wszystkie te warunki niezbędne, na których istotny postęp w fizyce opierać się winien.

Herman Ludwik Ferdynand Helmholz urodził się w Potsdamie 31-go sierpnia 1821 roku. Zamiłowanie skłaniało go do fizyki, ale na żądanie ojca, nauczyciela gimnazyalnego, wstąpił do instytutu wojskowo-lekarskiego. Medycyna otworzyła mu rozległe do badań pole i była szkołą samodzielności; znajomość wszakże matematyki i fizyki zawdzięczał własnej tylko pracy. W r. 1842 zyskał stopień doktora medycyny i został wkrótce lekarzem wojskowym. W r. 1845 poruczono mu opracowanie do słownika nauk lekarskich rzeczy o cieple; z tego względu przeprowadził badania nad zmianiami chemicznemi, zachodzącemi w mięśniach, oraz nad wytwarzaniem się ciepła przy ich pracy, a prawa te życia organicznego nasunęły mu pomysły do genialnej i klasycznej pracy i „o zachowaniu siły“ (1847), przez którą wzniósł się już do rzędu najznakomitszych fizyków. W r. 1850 powołany został na katedrę fizyologii ogólnej w Królewcu; w tymże samym roku oznaczyć zdołał prędkość przenoszenia się wrażeń nerwowych, gdy poprzednio sądzono, że wrażenia te przebiegają z prędkością nieskończoną; wśród ogółu wszakże nazwisko Helmholtza stało się popularnem dopiero przez wynalazek wziernika ocznego. W r. 1855 objął katedrę fizyologii w Bonn, a w r. 1858 w Heidelbergu, który był wtedy jednem z głównych ognisk naukowych w Europie. Lata te poświęcił głównie opracowaniu fizyologii zmysłów, a wspaniałe rezultaty tych poszukiwań złożyły się na dwa epokowe dzieła: „Handbuch der physiologischen Optik“ (1859—66) i „Die Lehre der Tonempfindungen“ (1862).

Obszar badań, którym się Helmholtz poświęcał, co coraz się bardziej rozprzestrzeniał i wykraczał po za granice fizyologii, aż wreszcie od nauczania jej zupełnie się usunął i objął katedrę fizyki w Berlinie w roku 1871. Tam, we wspaniałej pracowni, staraniem jego wzniesionej, wykształcił się liczny zastęp fizyków, a wielu z nich zasłynęło w nauce; Piotrowski, Wróblewski, Die ulski, Witkowski należą pomiędzy innymi, do liczby jego uczniów. Nowa wszakże i wzmożona praca nauczycielska nie oderwała bynajmniej Helmholtza od dalszych badań, których owoce obfite są po wszystkich działach fizyki rozmnożone. W uniwersyteckim instytucie fizycznym pracował do r. 1888, w tym zaś czasie objął zarząd nowo założonego w Berlinie „Instytutu państwowego fizyczno-technicznego,“ który ma na celu prowadzenie najściślejszynh badań teoretycznych i zastosowanie zdobyczy naukowych do potrzeb techniki. W r. 1891 obchodził świat naukowy uroczyście siedmdziesiątą rocznicę jego urodzin, którą, niestety, nie długo już miał przeżyć.

s.

U autora „Honoru“.

Znany literat warszawski i krytyk teatralny „Przeg. Tyg“. p. Gabriel Kempner odwiedził przed kilku tygodniami w Berlinie utalentowanego autora „Honoru“ i „Gniazda rodzinnego“ a wrażenia odniesione z tego interwiewu skreślił nam w sposób następujący: „Hermann Sudermann mieszka pod Nr. 16 na Nettelbeckstrasse, w dzielnicy Thiergartenu, wykwintnej części Berlina, do której dąży wszystko, co miasto posiada wybitniejszego w sferach arystokratycznych i finansowych, wojskowych i naukowych, literackich i artystycznych. Jak wiadomo, poeta ten nietylko potrafił odczuć rozkosze życia, psychologię, oraz odtworzyć salony tych uprzywilejowanych sfer właśnie, ale umiał im też przeciwstawić „oficynę“, gorycz pracy powszedniej, zawiedzionych nadziei, złamanych uczuć, zrozumieć wzajemny stosunek tych światów, kolizye i ich rezultaty jako to: względność pojęć społecznych, marnowanie i pochłanianie najlepszych sił przez Molocha wyrafinowanej rozpusty w nowożytnej Sodomie, rozdźwięk poglądów etycznych rodziców i dzieci, kopiący między niemi przepaść głęboką, nieprzebytą.

Mieszkanie autora „Gniazda rodzinnego“ znajduje się na trzeciem piętrze domu, wyróżniającego się z pomiędzy otaczających, pretensyonalnie lśniących od złoceń i jaskrawych ozdób zewnętrznych, skromnością i pewnym wykwintniejszym komfortem. Samo urządzenie świadczy o dobrym guście gospodarza, zamiłowaniach jego artystycznych, jak równie i o tem, że doba dzisiejsza (w niektórych społeczeństwach przynajmuiej) nie jest niewdzięczną dla talentów, dając im obok uznania moralnego i możność materyalną zaspakajania najwyższych potrzeb komfortu i estetyki. W szeregu salonów znajdują się prawdziwe dzieła sztuki, płótna pedzla starych mistrzów włoskich [perłę których stanowi oryginalna „Madonna“ Pawła Werończyka], najwybitniejszych malarzy współczesnych, staroniemieckie arcydzieła, płaskorzeźby, misterne cacka japońskie i chińskie porcelana saska i dzieła ceramiki z czasów renesansu. Ściany zdobią makaty i gobeliny średniowieczne i złote brokaty wschodnie. Uprzejmy, zaledwie trzydziestosześcioletni gospodarz, o wysokiej, przyjemnej postaci, twarzy bardzo przystojnej, bladej, otoczonej długą, rozczesaną na dwie części czarną brodą, o pełnych blasku czarnych oczach, cieszy się widocznie uznaniem i zainteresowaniem, jakie gość dla pięknych tych przedmiotów wyraża. Cała osobistość Sudermanna czyni wrażenie niezwykle sympatyczne, pochodzące ze szczerej skromności poety, naturalności i swobody, pozbawionej wszelkiej pozy. Po chwili zawiązuje się następująca rozmowa:

— Wszak pierwotnie pisywałeś pan jedynie nowele i powieści? Jaką drogą zwróciłeś się pan do literatury dramatycznej?

— Przyznaję, że teatr nęcił mnie oddawna i że męczyła mnie kwestya, czem się różni twórczość dramatyczna

od innych dziedzin twórczości literackiej. Wszak mieliśmy znakomitych niemieckich powieściopisarzy, którym nieudawały się wszelkie prace dla teatru, że przytoczę dla przykładu Spielhagena i Heysego. Zacząłem się zatem zastanawiać nad techniką teatru i studyować jej prawa a to w sposób dość prosty. Kupiłem sobie kilkanaście różowych książeczek ze zbioru Reclama, zawierających uznane za dobre dzieła dramatyczne z różnych literatur, i przypatrywałem się ich technice, starając się następnie zdać sobie sprawę z tego, czem się ona różni od tworzenia literacko artystycznego wogóle. Przyszedłem do przekonania, że tu jak i tam chodzi o dobre obserwowanie i odczucie przedmiotu i umiejętność odtworzenia tych obserwacyj, w celu wzbudzenia w innych tego samego nastroju. W teatrze jednak trzeba wrażenie wywołać — nie w pojedynczym człowieku — ale jednocześnie w grupie ludzi, złożonej z rozmaitych żywiołów, różnego stopnia kultury i wykształcenia, mających często mało wspólnego, połączonych jedynie przypadkowością znajdowania się w jednem miejscu. Otóż cała sztuka polega na tem, aby wybrać temat, któryby potrafił wszystkich jednakowo zająć. Talent dramatyczny, podług mnie, leży w poczuciu wyboru odpowiedniego tematu. Temat ten powinien, oprócz interesowania ogółu, posiadać jeszcze dwie właściwości: możność rozdzielania go na odpowiednie części oddzielne, stanowiące same w sobie całości, zwane aktami, i możność stopniowania wrażenia w widzach do pewnego kulminacyjnego punktu, poczem nadawać się do prędkiego rozwiązania. Po za umiejętnością wyboru tematu, reszta to już technika właściwa, rzemiosło — kwestya wprawy.

— Wszak już pierwsza Pańska sztuka, „Honor“ zyskała niezwykłe powodzenie? Jakże to pogodzić z ową potrzebą wprawy?

— Niewątpliwie „Honor“ jest technicznie i literacko najsłabszą sztuką moją. Posiada on za to pewną oryginalność i siłę właściwą pierwszym utworom, która działa na publiczność. Stawiałem sobie następnie coraz trudniejsze zadania, chcąc doświadczyć swoją umiejętność techniczną. W najnowszej sztuce w „*Walce motyli*“, której pierwsze przedstawienie przygotowują na 6 października w teatrze Lessinga, a z której próby prowadzę od kilku tygodni, postanowiłem wywołać wrażenie środkami najprostszemi. Brak w niej zupełnie wielkich efektów i tematów, jak również scen gwałtownych. Za to włożyłem całą pracę w szczegóły, robota to będzie filigranowa. Sztuka ta powinna mieć najwięcej wartości artystycznej ze wszystkich moich dotychczasowych prac dla teatru.

— Określenia pańskie co do umiejętności wyboru tematu, są istotnie trafne, niepodobna ich jednak stosować do wszelkiej twórczości dramatycznej. Szekspir naprzykład!

— Być może! Wszelkie definicye nie wyczerpują przedmiotu. Wyraziłem panu jednak powyżej w zupełności moje uświadomienie podczas tworzenia dla teatru, o ile sobie z niego zdaję sprawę.

— Czy panu wiadomo, że sztuki pańskie cieszą się w Polsce stałem i wyjątkowem powodzeniem i nie schodzą z repertoaru?

— Wiem o tem i dumny jestem z tego. Wychowałem się w Prusach Wschodnich, niedaleko granicy i, kto wie, czy pierwsze wrażenie mego dzieciństwa i wpływ ich na moją duchowość nie grają tu pewnej roli, poruszając niektóre wspólne struny. Mniej rozumiem powodzenie sztuk moich we Włoszech, gdzie grywają je wszędzie, a nawet Duse wybiera niektóre role za pole popisu. Pragnąłbym kiedy zobaczyć sztukę moją w Warszawie po polsku, choć nierozumiem, niestety, tego języka i z przekładów tylko znam takie znakomite utwory literackie wasze, jak „Bez dogmatu“ Sienkiewicza. Dziwię się zresztą, że tego znakomitego pisarza obecnie już wcale nie nęci scena, i że nie pisze rzeczy dramatycznych. Sądziłbym, że byłyby to dzieła bardzo wybitne artystycznie...

— Czy pan już wcale obecnie nie pisujesz powieści?

— Przeciwnie! Właśnie ukończyłem druk w pewnym tygodniku nowego romansu pt. „Es war“, i czekam niecierpliwie wydania książkowego, gdyż w rzecz tę włożyłem, wiele pracy i uczucia.

DIES IRAE.

„La honte de penser et l'horreur d'etre en homme...“
Leconte de Lisle.

I wszystko zagasło na tym starym świecie —
I słońce rzuciło krwi ostatniej strugi
Na ziemię — a po nim pozostał cień długi
I rozkosz dla zmysłów, lecz boleść poecie...

Drży serce w tej nocy bez gwiazd i bez wiary —
I wszystko, co z niebem go wiąże zerwane —
I wszystko wymarło, co było kochane —
I nawet trucizny niema na dnie czary...

Więc żyć trzeba, cierpieć — tak się niebu chciało
Jeszcze cierpieć — oto żywota konieczność.
Żyć, żyć — a nie wierzyć w życie, ani w wieczność —
I przeklinać łono, co ci życie dało.

Dla bolesnej myśli w wspomnieniach pociecha,
A pierś pragnie odżyć we wspomnień spowiedzi,
Lecz dla myśli, serca, nie ma odpowiedzi...
Jak w grobie bez echa!

Więc nieś twe kajdany — są to ojców długi,
Cierp, boś kochał dawniej; czekaj — bo raz przecie
I dla ciebie przyjdzie kres cierpień na świecie...
Kiedy zachód rzuci krwi ostatniej strugi...

Henryk Merzbach.

Bruksella, w sierpniu 1894.

WOLNE MYŚLI.

(FEJLETON).

Przedwcześnie, bo zaledwie 35 lat liczący, zmarł przed kilku dniami pracownik na polu literackiem, którego stratę brać po piórze serdecznie opłakuje. Śp. Jan Zengteller, urodzony w Kaliszu, po przebyciu szkół, zamyślał o karyerze artystycznej i zapisał się też na kursa Matejkowskie w Krakowie. Ale nie było mu od kołyski danem stąpać w życiu po różach; wkrótce dla braku środków najniezbędniejszych do życia, przerzucił się śp. Jan na pole dziennikarskie i próbował pod pseudonimem Zdory swych sił także w kierunku twórczym, korzystając z cennych wskazówek swego krewniaka: Kazimierza Bartoszewicza. Otóż ta ciężka, syzyfowa często, a zawsze podkopująca wątłe siły, praca, z małemi przerwami, wypełniła cały żywot Zengtellera, człowieka bezsprzecznie dużego talentu, któremu jednak twarde życia koleje nie pozwoliły się należycie rozwinąć. Z Zengtellerem zstępuje do grobu je-

den z tych niewielu już „cyganów literackich", indywidualność niezwykle sympatyczna i nawskroś artystyczna. W ostatnich czasach pisywał śp. Jan do *Kraju*, *Świata*, *Zagłoby*, *Myśli i Gazety Lwowskiej*, a od czerwca pełnił obowiązki sekretarza w dziale sztuk pięknych na wystawie. Umarł po 5-ciodniowej chorobie w biedzie, zdala od swego rodzinnego ogniska, na łożu szpitalnem, ztym pełnym goryczy uśmiechem, który prawie nigdy z ust jego nie schodził. Cześć jego pamięci!

Z inicyatywy Koła lit. we Lwowie, odbędzie się raut na dochód pomnika dla śp. Zengtellera. Na tenże cel wygłosi odczyt *Kaz. Bartoszewicz*.

* * *

— (*A. ch.*) Pojawiły się już pierwsze zwiastuny jesiennego sezonu teatralnego, który właśnie, przy akompanjamencie zanikających tonów operowych, obejmuje panowanie w gmachu skarbkowskim. Obie „premierki" należą ściśle do rzędu jednodniowych jestestw scenicznych, co uwalnia nas od obowiązku traktowania ich serio, z odpowiednią dozą arystarchowskiej powagi. Mamy przed sobą pierwszą próbę dramatyczną p. Antoniego Siemaszki, do niedawna artysty tutejszego teatru i farsę z warsztatu spółki warszawskiej pp. Laskowskiego i Junoszy. Z porównania, jakie się mimowoli wysnuwa wskutek zestawienia obu fars, tryumfatorem wychodzi p. Siemaszko, którego „Mąż w powijakach", pomimo intrygi dość banatalnej, wnosi na deski teatralne spory zasób humoru i kilka niezłych sytuacyi. Treści, oczywiście, niepodobna powtarzać, znaczyłoby to bowiem przeprowadzić czytelnika przez labirynt zawikłań i postawić go u mety, u którejby dopiero nic nie wiedział. Trzeba to koniecznie widzieć. Ale za to pozwolimy sobie na jedną uwagę pod adresem autora. Zdaniem naszem, wprowadzanie do sztuki kalectw w tym celu, aby z nich wykrzesać komiczne efekta, jest środkiem grubo nieetycznym, totež jąkała, którego p. Siemaszko wprowadził w swoim „Mężu w powijakach", wywołuje wprawdzie śmiech na galeryi, lecz za to robi niesmaczne wrażenie na każdym inteligentnym słuchaczu. To są minusy tej wcale niezłej farsy, którą artyści grali co się zowie po koleżeńsku. Aby nie wyczerpywać całego repertoaru zdawkowych komplementów, powiemy tylko, że z temperamentem i miarą artystyczną grali pp. Cichocka, Pankiewicz, Kwiecińska, Siemaszkowa, Hierowski, Trapszo, Walewski i Gostyńska. Pani Siemaszkowa zebrała podwójne laury, gdyż z konieczności musiała przyjąć oklaski, przeznaczone dla męża, jako autora. Spółka warszawska miała mniej powodzenia niż p. Siemaszko. Niepotrzebnie reklamowany „Wyścig dystansowy" zawiódł bowiem pod każdym względem. O sens byłoby mniejsza, bo ten nie jest konieczną atrybucyą farsy, ale to, co stanowi jej jedyną racyę bytu, tj. zręczna budowa, wesoły motyw i wogóle element komiczny, musieli autorowie zostawić przez pomyłkę za kulisami. Na „Wyścig dystansowy" złożyli się: dziennikarz warszawski p. Laskowski i znany pisarz Klemens Junosza. Naturalnie, że Junosza wprowadził swoja specyalność tj. typy żydowskie, które jednak wypadły dość banalnie i tylko świetnej grze Fiszera oraz poprawnej pp. Feldmana, Walewskiego i Dębickiego zawdzięczają powodzenie. Nowością poniekąd była scena, odegrana w żargonie żydowskim, ale ta nowość nie wynagradza kardynalnych braków krotochwili. Słowa uznania należą się i reszcie wykonawców, którymi byli pp. Kliszewski, Wysocki, Jaworski, Rybicka, Gostyńska, Cichocka i Janikowski. Nieśmiały, ale wdzięczny kroczek postawiła w tej farsie także początkująca artystka p. Kowalska. „Wyścig dystansowy" urodził się z galopującemi suchotami i galopem poszedł do grobu, czego sobie ze względu na sympatyczną firmę p. Junoszy należało nawet życzyć.

Może więcej szczęścia będą miały nowości, które już są w nauce. Będą niemi następujące utwory: Girardina „Wina kobiety", Paillerona „Komedyanci", Daudeta „Biały gwoździk", Nagody „Votum p. Bolesława" i Przybylskiego „Przyjaciel męża". W personalu zajdzie zmniana o tyle, że zaangażowano młodą i pełną nadziei artystkę z Warszawy p. Maryę Polkowską. Wystąpi ona w „Dworze w Władkowicach".

* * *

Zjazd przyrodników i lekarzy odbył się kilka dni temu w Wiedniu. W zjeździe wzięło udział wielu polskich uczonych. W sekcyach doniosłemi dla nauki były wykłady leczenia dyfterytu metodą prof. Behringa, polegającą na infuzyi krwi. Prelegent osiągnął znakomite skutki tej metody przy leczeniu zapalenia płuc, cholery, tyfusu a nawet tuberkulozy i spodziewa się na pożytek wiedzy i ludzkości metodę swą wydoskonalić. W dyskusyi nad prelekcyą podniósł prof. Ehrlich z Berlina, że metoda Behringa wykazuje takie dodatnie skutki, jak tego historya medycyny dotąd nie wykazała. Doświadczenia w pięciu berlińskich szpitalach czynione, wykazały, że na 72 leczonych w szpitalu na dyfteryę, bez infuzyi tak zw. *serum* zmarło 25, z pomiędzy zaś 78 leczonych od pierwszych dwu dni choroby za pomocą tego środka, zmarło tylko dwoje. Z tego wynika, że w świeżych wypadkach zalecić trzeba koniecznie w małych dozach leczenie zapomocą infuzyi *serum*. Do injekcyi wystarcza doza 10 kub. cm. *serum*.

Radca Dworu Widerhofer przedstawiał pomyślne wyniki metody intubacyjnej przy leczeniu dyfteryi. W sekcyi etnograficzno-antropologicznej miał dr. Gluck wykład o wychodźtwie hiszpańskich żydów do Bośnii. Wywody swoje zakończył mowca konkluzyą, że europejscy żydzi nie są semitami, lecz mieszańcami nie semitów z semitami. Psychiatra Forell z Zurychu żądał zakazu używania alkoholu w zakładach dla obłąkanych i nerwowo chorych.

* * *

Proces dra Orłowskiego przed ławą przysięgłych w Krakowie, zakończony jak wiadomo, uwolnieniem oskarzonego od wszelkiej odpowiedzialności za zarzucone mu czyny — pozostanie bądz co bądź w kronikach publicystyki krajowej, objawem smutnym i dziś już głębsze refleksye nasuwającym. Pamiętamy dobrze chwile, kiedy około tejże osoby, wywierającej w swoim czasie duży wpływ na swe otoczenie i posiadającej bardzo rozgałęzione stosunki — grupowali się ludzie o głośnych i szanowanych nazwiskach, kiedy o względy p. O. starały się tz. „grube ryby", które upoważniały go do działania w swojem imieniu. Nie wchodzimy tu w istotę zarzutów, jakie instytucya powołana do strzeżenia porządku społecznego i obrony pokrzywdzonych wytoczyła przeciw dr. O. — z temi załatwili się już obywatele — sędziowie, i na podstawie werdyktu tychże trybunał państwa orzekł swą opinię — nam chodzi jedynie o podkreślenie tego niezdrowego podkładu, tego wysoce niemoralnego tła, na którem rozsnuła się cała afera b. redaktora *Kuryera Polskiego*, a niemniej o bardzo charakterystyczne stanowisko ludzi, mających bądź co bądź wiele do zawdzięczenia p. O., którzy, acz niepowołani wcale na świadków do sądu i przez nikogo do swych oświadczeń nienawoływani — postarali się o publicystyczne wywlekanie czysto prywatnych momentów z życia obwinionego, które z istotą sprawy nie miały nic spólnego, a dla każdego człowieka sta-

nowią przecież rzeczy nietykalne, których nie należy ujawniać dla rzekomego podsycania niemi ciekawości publicznej.

Chcieliśmy na tem miejscu zaznaczyć te dwa fakty, jakie po za istotą procesu i obojętną nam osobą p. O. dają się zesmutnej *Kuryeryady* wysnuć, że przedewszystkiem wyrosła ona ze spróchniałego korzenia i zaszczytu nie przyniosła wcale gronu mecenasów, którzy bratali się z człowiekiem, wedle ich własnego przekonania — zaufania niegodnym, a powtóre zaś, że ci, którym p. O. najwięcej może dobrego wyświadczył w życiu — dla zamanifestowania swej wdzięczności — odsłonili te strony jego życia, których ujawniania nawet wrogowie notoryczni oskarżonemu oszczędzili. Ten drugi fakt stanowi nienowy wprawdzie, ale świeży przyczynek do psychologii ludzkiej.

KRONIKA.

*** Eliza Orzeszkowa napisała nowy utwór z życia artystów muzyki pt. „Wielki". Lubo utwór ten znajduje się w rękopisie, o prawo przekładu zgłosił się berliński „Romanwelt" i „Ruskaja myśl".

*** Pani Antonina Gawrońska, córka T. T. Jeża, mieszkająca we Lwowie, dla wychowania własnych dzieci, ma zamiar otworzyć u nas wyższe kursa dla kobiet języka i literatury francuskiej. P. Gawrońska wykładała te przedmioty w liceum lugdańskiem (Lyon), gdzie gruntownością wykładu i znajomością rzeczy zjednała sobie najlepszą opinję i zwróciła na siebie uwagę ministerstwa. Mamy nadzieję, że wiedzę swoją nabytą w Uniwersytecie paryskiem, p. Gawrońska potrafi zużytkować dla naszego społeczeństwa.

*** Znany dramat St. Graybnera „Irena", wystawiony będzie na scenie petersburskiej. Autor „Fredzia" napisał świeżo komedyę pt. „Maruder", która najprzód ujrzy światło kinkietów teatru — Rozmaitości w Warszawie, obecnie zaś pisze utwór głębszy pt. „Tak myślimy".

*** Całkowite wydanie dzieł Nietzsche'go przygotowywane jest obecnie przez dr. Fr. Koegel i dr. Edwarda von der Hellen. Dzieła te ogłoszone będą w dwóch częściach, z których pierwsza zawiera wszystkie prace, jakie się ukazały przed chorobą Nietzschego, lub jako skończona całość były przygotowane do druku. Część ta obejmie 8 tomów. Druga część obejmie znalezione w papierach Nietzschego nieskończone prace, urywki, szkice, plany, dopiski i aforyzmy, o ile okażą się warte opublikowania. Ta część, podobnie jak pierwsza, będzie, o ile się da, chronologicznie uporządkowana. Obfity zwłaszcza będzie materyał z pierwszego okresu literackiej działalności pisarza (1870—76). Objętością druga część nie dorówna pierwszej. Wydawnictwo to, na które księgarnia nakładowa Neumanna w Lipsku rozpisuje abonament, zaopatrzonebędzie w „Życie Fryderyka Nietzsche'go", skreślone przez jego siostrę p. Elżbietę Förster, oraz w studyum „Dzieła Fryderyka Nietzsche'go", napisane przez dr. Fryca Koegla, nadto dodana będzie krótka autobiografia, napisana przez samego autora w r. 1888. pt. „Ecce homo".

*** „La vivandiére". Nowością, przygotowywaną przez operę komiczną na bieżący sezon, będzie opera Benjamina Godard pt. „Wiwandyerka".

*** Leoncavallo pisuje zazwyczaj sam libreta do swoich oper. Świeżo jednak skomponował libretto do opery, napisanej przez innego twórcę, a mianowicie Buzzi Peccia. Opera nosi tytuł: „On ne badine pas avec l'amour".

*** W Medyolanie otwartym został w dniu 23. z. m. nowy teatr, założony i zbudowany przez głośnego wydawcę Sonzognia, pod nazwą „Teatro lirico". Uroczystość inauguracyjna odbyła się wspaniale. Teatr był zapełniony najdystyngowańszą publicznością Medyolanu. Po prologu napisanym przez posła Cavalottiego, odśpiewaną została nowa opera Samary „Męczennica".

*** Trzy nowe dramaty symbolistyczne Maurycego Maeterlincka wyszły w osobnej książce. Są to: „Alladine et Palamides", „Interieur", i „La mort de Tintagilis". Sam autor nazywa je dramatami dla marjonetek.

*** Książka Gabryela Monod'a p. t. Renan, Taine, Micheles wyszła świeżo w Paryżu. Autor trzech tych pisarzów nazywa mistrzami historyi. Studya te odznaczają się charakterystyką ścisłą i dosadną.

*** Na półkach księgarskich ukazał się nakładem Gebethnera i Wolffa tom nowel Leopolda Meyeta, pt. „Liście". Wydanie tej nowości jest bardzo wytworne.

*** Wystawa okrazów Jana Chełmińskiego w Warszawie, cieszy się coraz większem powodzeniem.

*** W Rzymie zmarł przed kilku dniami w 72 roku życia Jan Rossi, słynny badacz katakumb rzymskich, jedna z najwybitniejszych postaci naukowego świata rzymskiego i jego ozdoba.

*** Nowa sztuka Sardou nosi tytuł: „La Duchesse d'Athenes"; rzecz dzieje się w r. 1451. Autor odczytał ją w tych dniach Sarze Bernhardt i artystom teatru Renaissance, którzy mają odtworzyć ją w bieżącym sezonie. Sztuka podobała się bardzo. Ma 4 akty, ostatni w dwóch obrazach. Pierwszy akt przedstawia Akropolis z widokiem na Panteon. Drugi — klasztor Dafni, w pobliżu Aten. Trzeci akt rozgrywa się w pałacu księżnej Aten. Pierwszy obraz aktu czwartego wyobraża Wzgórze Nimf, a ostatni — wnętrze kościoła Panny Maryi, dawny Erechtheion.

*** Parodie-Theater w Berlinie rozpoczyna sezon w dniu 22-im b. m. Na repertuarze tegorocznym są parodye utworów Shakespeare'a: „Król Lear" — przezwany „Gigerlkönig", „Otello", Hamlet", „Kupiec wenecki". Następnie wystawioną będzie „boyckotowa opera Giacoma: Meyer in Berlin (Meyerbeera), „Hugonoci", w której główną rolę odgrywają właściciel browaru hr. von St. Bris-Rösicke i córka jego Walentyna-Tivolin". Teatr ten i jego repertuar dają niezbyt chlubne świadectwo o smaku estetycznym berlińczyków.

† Damazy Miśko, literat, jeden z dzielniejszych przedstawicieli młodzieży krakowskiej, zmarł w Andrychowie.

Korespondencya Redakcyi.

P. Zdzisławowi. Nie będą drukowane z powodu usterek, i to znacznych pod względem formy. Niech się Pan wczytuje w klasyków naszych.

P. Emilowi H. Sonet ładny. Będzie drukowany, ale dopiero w listopadzie.

Redaktor naczelny: **Józef Bornsztein.**

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Edmund Ostruszka.** Z drukarni E. Ostruszki, Lwów. Sykstuska 10.